

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

23)

Rynek krakowski, ze smukłymi wieżami kościoła Panny Maryi, rysującymi się wyraźnie na tle błękitu nieba, z poważnymi, szlachetnymi konturami Sukiennic, z samotną wieżą ratuszową i attykami starych kamienic, w srebrnym oświetleniu księżycy wydawał się przedziwnie pięknym i malowniczym, a głębokie cienie w stosunku do oświetlonych płaszczyzn wywoływały wrażenie barwności.

— Jaki ten Kraków śliczny! — powiedziała półgłosem Czajkowska, zwalniając kroku.

— To prawda mamo, — odezwała się Irena, — nawet nie przypuszczałam, że coś podobnie pięknego jest w Krakowie.

— A teraz, czy przebaczy mi pani, panno Ireno, moje przywiązanie do Krakowa? — rzekł doktor. — A to, co widzicie państwo, to tylko zwierzczenie suknie, bo, co się kryje w tych murach, ten duch zaklęty od wieków, jest dla nas nieczytelny, niezrozumiały i przechodzący obok obojętnie, nie przezuwając nawet, że przez te ciemne okna patrzą na was oczy minionych wieków, dramaty i tragedye całych stuleci; bo tu, w tym rynku, kto umie czytać hieroglify, znajdzie ślady wszystkich epok dziejów Polski.

— Panie doktorze, — odezwała się Czajkowska, — nie bądź pan egoistą i jeśli pan nas nie możecie nauczyć czytania hieroglifów, to przynajmniej sam zechciej odczytać je dla nas. Wieczór taki piękny, cichy, jasny i pogodny nastroja najzupełniej do słuchania o dawnych, dobrych czasach.

— Czy one były takie dobre, te dawne, polskie czasy, mam pewne wątpliwości. Tu, — wskazał doktor na miejsce pomiędzy bramą kościoła Maryackiego a pomnikiem Mickiewicza — stał pręgierz kamienny, do którego przywiązywano skazańców, a nożem, wiszącym w bramie Sukiennic, znaczone na nosie i uszach jarmarcznych złodziei, obcinano włosy dziewczkom przed wyswieceniem z miasta, odcinano języki bluźniercom wiary katolickiej... Tu spalono ośmdziesięcioletnią Katarzynę Wajglową, żonę złotnika i rajcy krakowskiego Melchiora Wajgla za wyrzeczenie się katolicyzmu. W tej stronie rynku każda gródka ziemi przesiąknięta jest krwią, łzami i męką skazańców, a w powietrzu unoszą się dymy spalonych pism i satyr, które słusznie piętnowały ogłupiający system szkół jezuickich. Autorzy byli w owym czasie szczęśliwsi od wydawców, gdyż pierwsi należeli do szlachty, a wydawcy do mieszczan, i tych skazywał sąd duchowny na publiczną chłostę u pręgierza. Cóż, były one dobre, te dawne czasy, ale dla Jezuitów, — uśmiechnął się.

— Pan rozmyślnie odczytuje czarne karty z przeszłości, — skarżyła się Czajkowska.

— Wcale nie. Nie mówiłem przecież o moim koledze z XVII stulecia, a słynnym medyku Matatyaszu, który za ułożenie pisma bluźnierczego o Matce Boskiej, został skazany najprzód na wyrwanie języka rozpalonymi kleszczami, następnie na ucięcie prawej ręki, i dopiero potem położono go na płonącej słomie, ażeby dokończył bluźnierczego życia. Ostatnią egzekucję na tem miejscu, wykonano, ku zgorszeniu całego kleru i pobożnych dewotek, na osobie księdza Macieja Dziewońskiego, za zdradzenie planu obozu polskiego, ale był to świt nowych dziejów polskich, epoka Kościuszki.

— Nie wiedziałam, — odezwała się Irena, — że pan lubuje się w okrucieństwach, i teraz zdaje mi się, że ten cały rynek przepełniający mary umęczonych i skazanych.

— Rozumiem, że młode serce pani stroni od śmierci, a pragnie życia i wesołości. Natychmiast zadowolę panią. Oto przed nami, widzi pani tę kamienicę ze sztyldem Porębskiego? nazywa się ona Bonerowska albo Firlejowska. Tutaj zajeżdżał w dniu 19 listopada 1605, przybyła ze Sambora wraz z rodzicami Maryna Mniszchówna, wojewodzianka sandomierska, a krewna Firlejów. I w tej kamienicy Ofanas Własiów w imieniu i w zastępstwie cara Dymitra zaślubił pannę Marynę w obecności Zygmunta III, jego siostry Anny i królewicza Władysława. Przy dźwiękach kapeli zasiedli do sutoj uczyty sproszeni goście i orszak poselstwa moskiewskiego. Lecz ci wysłańcy ku wielkiemu zgorszeniu: „bardzo plugawie garściami jedli, podobnie z mis biorąc“, co nie przeszkodziło gospodarzowi wyprawić bal po uciecie, przy muzyce złożonej z czterdziestu instrumentów, a rozpoczął tany król Zygmunt z carycą Maryną...

Jak widzi panna Irena, nie lubuję się tylko w okrucieństwach kata, ale i w historyach małżeńskich panny Maryny.

— Ale niech nam pan doktor powie coś pogodniejszego, jaśniejszego z dawnych czasów, — prosiła Czajkowska.

— I owszem, potrzeba tylko trochę fantazyi... Tu, gdzie dziś są linie AB, CD, i tak dalej, były podcienia, a w nich targowały przekupki i żydy w XVI stuleciu, a poniżej kupczących były wejścia do piwnic, gdzie sprzedawano gorące potrawy i trunki: „a chcesz widzieć, jako chudzi się żywi“ pisał Rej „idź na krakowski rynek, tam się nadziwujesz, ano jedna kiełbaski smaży, druga wątrobę pieczoną sprzedaje. Więc u krup, u śledzi, u masła, u świec, u skłenic, u butów, u ryb, u żuru, u barszczu, u ogórków, u rozmaitych ogrodnych rzeczy siedzi“ i w rynku musiałeś się przedzierać, jak piszą kronikarze, przed wielgosią koni i ludzi. Ponad tym tłumem kupczących, swoich i obcych, wznosiły się na piętrach kamienic komnaty bogate, wykwintne, patrycyuszów, którzy, jak Wierzynek w tym oto domu, — wskazał na kamienicę ze sklepem Tomaszewskiego, — przyjmował w roku 1363 uczcą Kazimierza Wielkiego, Ludwika węgierskiego i Waldemara duńskiego, a następny po Wierzyńku właściciel kamienicy, Morsztyn, gaszczał Wilhelma rakuskiego, zakochanego w Jadwidze.

— I to naprawdę dom Wierzyńka? — zdziwiła się Irena.

— Tego samego, — uśmiechnął się, — a gdyśmy już przy królach, to Jan III, po powrocie z Wiednia w kamienicy „Tucowskiej“ był przyjęty obiadem przez Radę miejską i przypatrywał się teatrum, wyprawionemu na jego cześć na Goldzie.

— A ta wieża, to ratuszowa? — spytała Czajkowska, wskazując na samotną wieżę.

— Tak, pani, pozostałość z dawnego ratusza. Ona jedna i jedyna nosi na sobie charakter Krakowian. Od lat trzydziestu zegar jej wskazuje fałszywie godziny, co nikogo nie drażni, bo w Krakowie wszyscy mają czas.

— Czy naprawdę? — zaśmiała się Irena, — zegar źle idzie?

— Niech pani spojrzy. Jest już dziesięć po jedenastej, a wskazówki na zegarze pokazują trzy na jedenastą. Dwadzieścia pięć minut różnicy, to przecież drobnostka wobec wieczności.

— Tę kamienicę znam, to „pod baranami“, — odezwał się Roman, — pałac Potockich.

— To dziś, — rzekł doktor, — a w XVI wieku mieszkała tu wdowa po Kasprze Bekieszu, która tu prowadziła słynny wyszynk wina. W roku 1810 zajeżdżał tu Fryderyk August, król saski, wielki książę warszawski i doczekał się krakowiaka:

Staną „pod barany“
Vivat król kochany!
A barany tryx, tryx,
Vivat królowa Beatryx!

— Wogóle, lud krakowski, — mówił doktor dalej, — jest wesoły i lubi śpiewki. Pokażę paniom później kamienicę w rynku, o której lud śpiewa:

Ta są „trzy gwiazdy“,
O nich wie każdy.
Kto ten dom minie,
Nogę wywinie.

A na trzecim piętrze tej samej kamienicy mieszkał mój kolega po fachu, o którym śpiewano w r. 1831:

Tu mieszka niski
Doktor paryski
Pod „trzema gwiazdami“
Co leczy sznapsami.

I to jest szczególne w tym Krakowie, że byle tknąć murów, dzwoni z nich przeszłość, nie ta kupiecka, dorobkiewiczowska, ale czysty dźwięk temperamentu i charakteru narodu. Oto wraca biskup Sołtyk i pogrążony w smutku i żalu przez siedem lat siedzi zamknięty w Krzysztoforach, najpiękniejszej kamienicy w Krakowie, a gdy zjeżdża na Podgórze cesarz Józef, Sołtyk z wielką ostentacją i okazałością jedzie do cesarza, aby mu wyrazić swe oburzenie na podział Polski. Skazany za to na wygnanie, nie ugiął się wcale. Ale na dziś dość historyi.

— Bardzo panu dziękujemy, — mówiła Czajkowska, — nie wiemy, jak się panu odwdziżyć.

— Cała przyjemność po mojej stronie, — zaśmiał się doktor, — i niema o czem mówić.

— To mnie jednak dziwi, że pan zna i pamięta te wszystkie drobne szczegóły, — powiedziała Irena.

— Tylko niech pani nie sądzi, — uśmiechnął się, — że łykałem pyły archiwalne i hipoteczne. Czerpałem z gotowej obróbki materyałów historycznych, a że kocham się w murach Krakowa, więc pamiętałem niektóre rzeczy bardziej ciekawe.

Szli w kierunku mieszkania Czajkowskich. Roman

z doktorem pozostali trochę wtyle rozmawiając ze sobą:

— Panie doktorze, — zniżył głos Roman, — kiedy pana mogę zastać w domu?

— W godzinach przyjęcia.

— Wolałbym w innym czasie, bo rozmowa może być dłuższa.

— Więc przyjdź pan jutro, po godzinach ordynacyjnych.

— Uwolnię się z fabryki i przyjdę.

Na drugi dzień, Roman nie zastał wprawdzie w salonie doktora pacjentów, ale jeden spóźniony zajmował go jeszcze w gabinecie.

Usiadł w salonie i jakkolwiek był już kilka razy u Lenckiego, zawsze z równą przyjemnością podziwiał wykwintne i harmonijne umeblowanie tego pokoju.

Nic tu nie było zbytecznego. Bogate i drogie makaty, złote hafty średniowieczne, zdobyte gdzieś z poniszczonych skarbców kościelnych, zdawało się, że tu dopiero znalazły właściwe miejsce, ażeby jaśnieć w całej swej piękności i oryginalności.

Zadnych błyskotek, świecidełek, gratów i graciów mających pretensję do sztuki, oprawnych dzieł ilustrowanych dla skrócenia czasu, a mimo tego Roman czuł się tu swobodnym i czas mu się nie dłużył, bo na każdym kroku było coś godnego widzenia i uwagi, a kilka obrazów wysokiej wartości artystycznej w skromnych, surowych ramach, podnosiło urok tego salonu.

Po pewnym czasie pacjent odszedł, drzwi od gabinetu uchylły się, a doktor, ujrawszy Romana, zawołał przyjaźnie:

— Czekalem na pana. Chodź pan do gabinetu, tu będzie nam wygodniej.

Usadowił gościa w miękkim, obszernym fotelu, przysunął wyborne papierosy i spytał uprzejmie:

— Czem mogę panu służyć?

— Trochę mi niezręcznie prosić pana o przysługę, ale naprawdę nie mam tu nikogo, do kogobym miał tyle zaufania, co do pana, a jest to sprawa drażliwa.

— Co to, pojedynek? długi? śmiało, panie Romanie!

— A, jak śmiało, to śmiało, — uśmiechnął się. — Jestem zakochany, ale to tak... powyżej uszu.

— Nic nowego pan mi nie powiedział, wróble krakowskie świergocą o tem po ulicach.

— Tak?... więc to ułatwia mi sprawę. Otóż ojciec jej, pan Filarek, ma podobno jakieś zarzuty co do mej osoby. Panna, o ile wiem, nie jest mi przeciwna i przypuszczam, że tylko z rozkazu ojca trzyma się opornie. Ta niepewność męczy mnie.

— Czy pan się oświadczył pannie? — spytał doktor.

— No, tak... bardzo formalnie, to nie, ale nie ukrywałem wcale moich uczuć.

— To źle. Kto chce i ma wolną wolę brać na siebie ciężar utworzenia rodziny, ten musi jasno i otwarcie sprawę postawić. Takie półśłówka, półwyznania, półoświadczenia, wogóle niedopowiadania, są szkodliwe i wzbudzają niewłaściwe podejrzenia co do prawości zamiarów mężczyzny.

— Właśnie wczoraj chciałem się jej oświadczyć, a właściwie się oświadczyłem... tylko przeszkodził mi jeden z gości do postawienia sprawy mej miłości na ostrzu... ale mogę to dzisiaj uczynić i co do panny, jestem prawie zupełnie spokojny. Idzie o ojca, czy zgodzi się przyjąć mnie na zięcia?

— Hm... ojciec? — zamyślił się doktor i po chwili: — Znam tego pana Filarka... człowiek gruboskórny, dorobkiewicz... do niego przemówią tylko argumenty materyalne. Jakie ma pan dane utrzymania żony?

— Mam posadę na 3.600 koron, matka pobiera procenta w sumie tysiąca koron, a 4.600 koron wystarczą na przyzwoite utrzymanie matki, siostry i przyszłej żony. Prócz tego posiadam oszczędności 5.600 koron, które mogę włożyć do interesu... Pan Stokłos proponuje mi współkę w swem przedsiębiorstwie z pensją czterystu koron miesięcznie, co podwyższa mój dochód do 5.200 koron.

— No, to nieźle wygląda, o ile dochody posiadają gwarancję i mogą się powiększyć z biegiem czasu.

— I napewno się powiększą, — mówił Roman szczerze, — byłem uzyskał pozwolenie powrotu do Warszawy, znajdę posadę, wystarczającą na wygodne i dostatnie życie.

— Jesteś pan tego pewny, panie Romanie?

— Najzupełniej. Onegdaj otrzymałem list od szefa firmy, w której praktykowałem, że jesienią tego roku firma otwiera nowy dział handlowy i proponuje mi kierownictwo tegoż. Gdybym uzyskał pozwolenie powrotu, mam zabezpieczoną posadę z bardzo dobrą płacą.